



BIURO  
WYCINKÓW  
PRASOWYCH

Warszawa  
Pl. Starynkiewicza 7  
Tel. 28-59-59

## BENIOWSKI PRZEKRÓJ

KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19

wydanie .....

Nr 1 3 5 5 z dn. 26-03-1971

# KURIER WARSZAWSKI

Rok V. Nr 3.

Marzec 1971

Od „Cwiartki wołu” po „Stworzenie świata” ● Dr Ewa znów wśród chłopów (ale i wśród szlachty) ● Dlaczego „Beniowski” musi mieć drugą część? ● Wizja sztucznej szczęki straszy w Teatrze Wielkim! ● Co musimy zwalczyć, jeśli już tyle wywalczyliśmy?

**SENSACJA** artystyczną stolicy była wystawa dzieł Fernanda Legera. Sensacją zresztą, jak sensacją, bo w malarstwie Legera trudno się sensacji dopatrywać, raczej — wydarzeniem. Po raz pierwszy bodajże sprowadzono do Warszawy tak ogromną ekspozycję dzieł jednego artysty, obejmującą chyba ponad sto obrazów; ponadto rzeźby, rysunki, ceramikę, litografie itd. itd. Nie jest to naturalnie wystawa pełna; Leger zmarł w roku 1955 i większość eksponowanych obrazów pochodzi z ostatniego, powojennego okresu jego życia, ale kilka pozycji z lat dwudziestych i trzydziestych pozwala — z grubszą — prześledzić drogę twórczą artysty.

To interesujące, że w niektórych wypadkach można na podstawie paru prac wiedzieć już o malarzu wszystko, w innych — trzeba przedzierać się poprzez gąszcz stylów, okresów, wzlotów i załamań, aby wiedzieć zaledwie coś nieco. Byłem kiedyś w Hadze — na wystawie dzieł Vermeera; cała ekspozycja mieściła się bodaj w jednym pokoiku, wisiało sześć czy siedem słynnych płócien i — był to już cały Vermeer. Spróbujmy jednak w sześciu czy siedmiu płótnach zamknąć wiedzę o Picassie...

Legera interesowało wszystko. Od obrazu „Cwiartki wołowy” i „Cwiartki baraniny” aż po... „Stworzenie świata”. Szczególnie intrygowały go jednak maszyny (i ludzie przy maszynach) oraz — cyrk. Z jego ludzi przy maszynach nie widzimy w Warszawie zbyt wiele (jeśli nie liczyć kilkunastu studiów i obrazów „konstruktorów” usytuowanych gdzieś na skomplikowanych rusztowaniach), natomiast jedna z sal poświęcona została jego słynnym litografiom z cyrku; to już coś! I jakie piękne ceramiki! I jaka zabawna, a prosta w pomyśle rzeźba w brązie: „Idący kwiat”...

Leger operował agresywną plamą i agresywną, grubą kreską. Jego obrazy są jak gdyby trochę ponadstylowe, żyjące w odrębnym świecie, mimo teoretycznych szufladkowań ich do takiego czy innego prądu. Dobrze się stało, że jego wystawa zaglądała do Polski, cho-

ciaż — jej dzień powszedni wygląda dość ponuro.

Katalogi od dawna wyczerpane; brak większych podpisów (choćby dat) pod wystawionymi obrazami; rozmieszczenie prac nie zawsze wydaje się logiczne i jasne; nikt nie kwapi się, aby wskazać przynajmniej drzwi, w które trzeba wejść i kierunku w jakim trzeba zwiedzać poszczególne sale, aby uchwycić koncepcję (jeśli jest taka) prezentowania dzieł.

Nie dziwnego, że niektórzy (zwłaszcza młodszy), gdy im się trochę od tych Legerów już pomaci w głowie, z westchnieniem zaglądają do sąsiedniej salki, zatrzymując oko na dłużej przy „Bitwie pod Grunwaldem”, „Kazaniu Skargi”, przy „Batorym pod Pskowem”. Łza się w oku kreści, gdy sobie człowiek pomyśli kiedy te rzeczy widział po raz ostatni!

Nie pamiętam. Może wtedy, gdy po raz ostatni — przed obecną premierą — wystawiano w Warszawie „Turonia” Żeromskiego? Był wówczas rok 1935, potem nie sięgano już po tę sztukę, jako, że jej wymowa była nie całkiem jednoznaczna. Po czyjej stronie właściwie opowiada się Żeromski? Po stronie szlachty — rwącej się do powstania przeciw Austriakom i mordowanej przez chłopów, czy po stronie Szeli, który krwawo bo krwawo, ale egzekwuje przeciw krzywdy narosłe przez setki lat pańszczyźnianego ciemnienia? A może bohaterem jest Chudy? Chłop, który rozumie konieczność sojuszu surdutowo-sukmanowego, jeśli chce się Polska dobić do wolności? Lecz znowu ten Chudy, jak na bohatera, zbyt łatwo wysyła na mękę kilkunastoletniego, Bogu ducha winnego, panicyzka... Więc jak?

Sytuacja nie jest jasna i nie powiem, aby rozjaśnił ją także ostatni spektakl, reżyserowany przez Romana Kłosowskiego (tak, tak, to ten pamiętny kuzyn Kobieli z „Poznajmy się”!).

Wszyscy zgadzają się co do tego, że „Turon” — to właściwie jeden akt. Mistrzowsko napisany z wielką kulminacją: rozmowa Szeli z Hubertem Olbromskim. Z tym dramatycznym starciem dwu postaw, dwu racji — obu zresztą na swój sposób słusznych. Tak więc, konflikt osią-

nął swój punkt kulminacyjny lecz z rezultatem jeden z jednego.

I teraz już — im dalej tym gorzej. Drugi akt, to kompromitacja Szeli; nieustępliwy mściciel z aktu pierwszego, czapkuje przed austriackimi żołdakami, coś za wygodnie czuje się w pańskich fotelach, syna chce żenić z hrabianką, dwór im zostawić... Akt trzeci — to kompromitacja Huberta. Akt szybko zmierzający do przedziwnego happy-endu. Zakochana para, niby to w imię powstańczych haseł, siada na koń i zmyka daleko. Chudy ich popędza, sam mówi, że też uciec musi bo bez niego nie przejadą i tak oto wszyscy ci „męczennicy sprawy” zwiewają w bezpieczne miejsce, na pastwę rozjuszonego Szeli pozostawiając kilkunastolatka, Xawerego Cedrę. Oj, nieładnie!

Spektakl w Teatrze Ludowym przyciąga komplety, także i z tego względu, że grają w nim bohaterowie telewizyjnych seriali. Szelą jest Brunner-Karewicz, hrabianką Weroniką — dr Ewa (Wiśniewska). Jeśli dodamy, że młody student PWST, Krzysztof Wakulski (Xawery) wygląda, mówi i rusza się jak Daniel Olbrychski w początkach swej kariery — będziemy mieli komplet.

A propos Olbrychskiego (gratuluje my syna!), poszedłem na „Beniowskiego”. Znakomity spektakl Hanuszkiewicz, utrzymany w lekkiej, zasypanej świetnymi pomysłami, kabaretowej formie.

Na tle cudownej scenografii wysnutej ze słuckiego pasa, pojawia się sam mistrz ceremonii (poeta? narrator?) Hanuszkiewicz i tak jak znajdowałby się na estradzie „Dudka” zaczyna pogodnie: „Dobry wieczór państwu... Za panowania króla Stanisława, mieszkał ubogi szlachcic na Podolu; wysoko potem go wyniosła sława; szczęścia miał mało w życiu, więcej bólu...” Potem, z wyrzutem prawej ręki godnym sopockich festiwali, anonsuje: Beniowski! I zjawia się Olbrychski.

Jest w tym spektaklu wszystko. Cudowna poezja, cudowny dowcip, pomysły reżyserskie godne tej sceny i tego inscenizatora. Gdy jednak zapada kurtyna orientujemy się iż czegoś było nam brak. I dopowiadamy szybko: oczywiście brak dyrektorowej! Stąd wniosek, że będzie i druga część.

Pesymiści stwierdzili co prawda, że po wszystkich królowych i wszystkich dzieciach jakie grała na tej scenie nie ma już postaci godnych jej talentu, optymisci — wiedzieli jednak, że została jeszcze jedna, jedyna w zanadru: Matka Boska! I rzeczywiście! Matka Boska Kucówna mówi zresztą tekst pięknie (chwilami tylko naśladowując Irenę Dziedzic, naśladowając Irenę Eichler) niemniej nie jest w stanie nawet ona podnieść temperatury drugiej części spektaklu, która wyraźnie słabnie...

Może za mało w niej Olbrychskiego i Hanuszkiewicz (dwóch wybornych protagonistów aktu I)? Może trochę zbyt pokomplikowany jest tu konglomerat tekstów z „Księdza Marka”, „Zawiszy Czarnego”, „Marii Stuart”, z listów Słowackiego, a nawet tekstów Norwida? Nie wiadomo dokładnie, tak czy inaczej — część pierwsza, ponad wszelkie pochwały, godna jest obowiązkowego zobaczenia!

W sąsiedniej bramie natomiast, w Teatrze Wielkim, zaprezentowano francuskie balety: „Symfonia fantastyczna” Berlioza, „Danse sacrée — Danse profane” Debussy’ego oraz „Bolero” Ravela. Wszystko pod kierownictwem muzycznym Krenza, w scenografii Andrzeja Majewskiego, w choreografii, inscenizacji i reżyserii Witolda Bor-kowskiego.

Przyznam, że najmniej odpowiadała mi z tego „Symfonia fantastyczna” mimo świetnej kreacji Stanisława Szymańskiego. Nużąca jest już dzisiaj ścisła programowość, a w programowości ten przerost fantazji, te wszystkie mary, widziadła dręczące poetę, te własne pogrzeby, sabaty wiedźm itd. itd. W dodatku Andrzej Majewski cały pierwszy akt zapaskudził sztuczną szczęką niebotycznych rozmiarów, czym początek baletu doszczętnie obrzydził co wrażliwszym estetom.

Najbardziej natomiast odpowiadało mi „Bolero”. Tańczone przez Marię Krzyszkowską i 30 (mniej więcej) tancerzy, w konwencji tańca estradowego raczej, lecz na najwyższym poziomie, tańca eksponującego przede wszystkim seks, a hiszpańszczyznę — stylizowaną, mocną — zatrzymującą w tle. Krzyszkowska w czerwonym kostiumie, z burzą jasnych włosów, była mniej w stylu bolera, lecz za to bardzo w stylu Ravela. A o to przecież idzie!

Że jednak życie sprawozdawcy nie składa się z samych przyjemności zaszedłem jeszcze kiedyś na naradę do tajnych pokoików, przy ul. Rutkowskiego. Spóźniłem się nieco, krzeselko dostawiłem więc w drugim pokoju, a spośród oparów dymu, ulatujących nad salą konferencyjną, dobiegały mnie tylko co głośniejsze słowa:

— Trzeba z tym walczyć, lecz jednocześnie wiedzieć, o co walczyć!

— Zastanówmy się z czym właściwie walczymy, bo samo walczenie nic nie da...

— Może kolega nie wie z czym walczy, ale my wiemy i walczymy. Zwalczyliśmy już niejako, walczymy nadal i wywalczymy sporo.

— Walka jednakże doszła już do tego, że nie zwalczymy tego co inni wywalczyli.

— Kto walczy, a nie wie z czym walczy, powinien być zwalczony!

— Jeśli walczących się zwalczy, to znowu niczego nie wywalczymy!

Myślałem, że nieoczekiwanie znalazłem się na jakimś naradzie sztabowej, ale gdy jednak dym papierosowy opadł, ukazały się znajome oblicza i sytuacja stała się jasna: była to dyskusja w Polskim Stowarzyszeniu Jazzowym, dyskusja o muzyce młodzieżowej... Dyskusja toczyła się blisko cztery godziny, przy czym obawiam się, że jednak niczego nie wywalczyła. Zaznaczę jednak, że wśród zebranych korzystnie wyróżnili się red. Jerzy Waldorff, red. Roman Waschko i Czesław Niemen, jako że głosu w ogóle nie zabrali. Gdy wychodziłem, dyskusja toczyła się zresztą nadal, a przez uchylone okna dobiegała muzyka orkiestry z Chmielnej, która nie wiadomo dlaczego przeszła na ul. Rutkowskiego:

Chryzantemy złociste  
stoją na fortepianie...

Kydryński